

II

EL ARENAL, 10 PAŹDZIERNIKA 2010

Jeśli ktoś twierdzi, że człowieka zawsze spotyka kara za popełnione grzechy, jest w błędzie! W rzeczywistości dosięga ona tylko tych, którzy dają się złapać na gorącym uczynku lub nie znają nikogo, kto w decydującym momencie wyciągnie pomocną dłoń. Na szczęście nie zaliczam się ani do jednych, ani do drugich.

Zresztą, nie mam pewności, czy te wszystkie małe, noszące znamiona magii rzeczy zasługują na potępienie. Ocena naszych czynów przez postronnych obserwatorów zależy tak naprawdę od tego, skąd nas obserwują. W poprzednim liście pytałaś mnie, czy zamierzam opowiedzieć Malenie całą tę historię? Szczerść i uczciwość to broń, która może zarówno ocalić ludzką duszę, jak i obrócić ją w popiół. Dlatego przedstawię jej „najlepszą” wersję prawdy. Taką, która nikogo nie skrzywdzi. Chciałbym wiedzieć, jak ona się czuje? Czy bardzo cierpi? Jeśli zdobędziesz nowe informacje w sprawie śledztwa, nie zwlekaj. Zanim opowiem jej „najlepszą” wersję tej historii, chcę wiedzieć, jak się skończyła.

Jeśli chodzi o Asse, muszę przyznać, że jest oszalamiająco piękna. Często nastawiam budzik na szóstą rano. Śpi koło okna. Obecnie pracuję wyłącznie przy użyciu ołówka. Farby i terpentyna mogłyby jej zaszkodzić. Używam miękkiego grafitu. Idealnie oddaje jedwabistość jej skóry. Zanim zacznę rysować, studiuję zarys twarzy. Podziwiam kurtynę długich rzęs i złocisty odbłask lekko kręconych,

miękkich włosów. Obserwuję promienie słońca, które tańczą na jej policzku. Dopiero potem przelewam całe to śpiące piękno na kartkę. Wraz z listem przesyłam Ci jeden z moich rysunków. Sama oceń.

Od około miesiąca mieszkamy w El Arenal. Piszę „około”, ponieważ nie jestem w stanie dokładnie określić, którego dnia przyjechaliśmy. Wcześniej myślałem, że moja sytuacja jest wystarczająco zagmatwana. Po tym, co się wydarzyło, wszystko legło w gruzach. W tym całym smutku odkryłem jednak, że człowiek zawsze znajdzie sobie powód, dla którego warto żyć. Ja muszę, ze względu na obietnicę, którą złożyłem, jak również na tę parę pięknych, błyszczących oczu, które pokładają we mnie całą ufność i nadzieję.

Dlatego wrócę i będę się cieszył swoim nowym życiem, jak tylko potrafię najmocniej, pozostawiając jednocześnie w bolesnej pamięci okruchy magii, która otworzyła przede mną bramy nieba. To największe szczęście istnieje, Klaudio! Trzeba w nie tylko mocno wierzyć i nie bać się, gdy niespodziewanie pojawia się w naszym życiu, oferując coś nowego w zamian za zburzenie dotychczasowego ładu.

Dzięki pomocy pani M. mam nową twarz i nowe imię. Mam świadomość, że nie będzie mi dane żyć dawnym życiem, ale to nieistotne. Mam cel, do którego podążam i który nada temu wszystkiemu nowy, głębszy sens.

PS Dziękuję za to, że jesteś...

D.A.

Przeczytał list jeszcze raz, zanim włożył go do koperty. Kątem oka spojrzął na małe, stojące pod ścianą łóżeczko. Wyjął z półki okrągłą puszkę modyfikowanego mleka dla niemowląt i zaniósł ją do kuchni. Starał się pamiętać o godzinach karmienia, zwłaszcza teraz, gdy nie mógł już liczyć na niczyją pomoc. Odgłosy dochodzące z pokoju świadczyły o tym, że jego córka właśnie się obudziła. Szybko wystudził wodę do odpowiedniej temperatury

i wymieszał ją z białym proszkiem z pudełka. I chociaż na początku miał z tym spore trudności, z dumą stwierdził, że w jego ruchach pojawił się pewien automatyzm. Strach przed myciem czy przewijaniem, powodowany delikatnością tego „małego szczęścia”, ustąpił szybko. Innego wyjścia niż „dać sobie radę” ojciec dziewczynki nie miał.

Najedzona i przewinięta Assa leżała w wyłożonym miękkim, bawełnianym kocem wózku, pobrzękując trzymaną w ręku grzechotką. Bardziej niż zabawką interesowała się jednak kilkoma rzędami różnokolorowych koralików, które spoczywały na lewym nadgarstku jej ojca. Spoglądała raz na nie, raz na trzymaną przez mężczyznę grzanekę, posyłając mu niewinne uśmiechy. On odwzajemniał je z czułością, zapominając o problemach, którym w najbliższym czasie będzie musiał stawić czoła.

Idąc w kierunku przystani jachtowej, wstąpił na pocztę. Jeszcze raz sprawdził, czy koperta jest dobrze zaklejona, po czym wrzucił ją do skrzynki. Pomyślał sobie, że chętnie przeszedłby się brzegiem plaży, mocząc gołe stopy w ciepłej o tej porze dnia wodzie. Odwrócił jednak gondolę w swoją stronę, tak żeby dziewczynka widziała jego plecy, gdy będzie ciągnął wózek po piachu. Okres wakacyjnego boomu już minął, toteż na plaży było w miarę pusto i cicho, a w każdym razie o wiele lepiej, niż w lipcu czy sierpniu. Nie śpieszył się. Co jakiś czas zatrzymywał się i przechylił wózek, żeby pokazać dziewczynce jakiś piękny widok. Opisywał go, używając nazw takich jak turkus, lazur, ultramaryna... i wszystkich innych barw, których Assa znać jeszcze nie mogła. Mimo to starał się mówić do niej jak najwięcej. Odpowiadała mu zwrotami, których z kolei on nie mógł zrozumieć i pewnie nigdy nie zrozumie, ale w ich specyficznym, dwuosobowym świecie liczył się przede wszystkim sam dialog: że ona mówiła, a on odpowiadał, oraz fakt, że wierzyła w każde jego słowo. Fakt, że nie rozumiała jeszcze, o czym mówi, nie miał większego znaczenia...

III

OKOLICE SOPOTU, 13 SIERPNIĄ 2009

Spojrzała na zegarek. Dochodziła osiemnasta. Co prawda nie skończyła się malować, ale zdziwiło ją, że jeszcze nie wrócił. Zawsze był punktualny i denerwował się na tych, którzy nie potrafili przychodzić na umówioną godzinę. Mimo że znali się już kilka lat, nadal nie umiała go jednoznacznie ocenić. Często zapominał wyłączyć telewizor czy zamknąć drzwi na klucz, gdy wychodził z domu. Raz tylko, dzięki sąsiadom spod dziesiątki udało im się uniknąć zalania.

Było to dwa lata temu, w lipcu. Daniel chciał wziąć prysznic, lecz administrator budynku wyłączył dopływ wody z powodu wymiany instalacji hydraulicznej. Jej mąż, po dziesięciominutowej walce z kranem, w końcu ustąpił. Wkrótce zakończono roboty i można było się umyć, ale Daniel zdążył już wyjść z domu. „Na szczęście” ich sąsiad pobił swoją żonę, a ta zawiadomiła policję. Malena była akurat w okolicy i zgłosiła przełożonym, że pojedzie sprawdzić, co się stało. Po spisaniu zeznań świadków, którymi byli dziesięcioletni syn poszkodowanej oraz osiemdziesięcioletnia sąsiadka spod dziesiątki, poprosiła swojego kolegę, Artura, aby dokończył formalności. Tego ranka zasnęła i nie zdążyła zjeść porządnego śniadania. Stwierdziła, że skorzysta z okazji i wstąpi na chwilę do mieszkania, żeby zaparzyć prawdziwą kawę dla siebie i kolegi oraz zjeść kilka kanapek z serem, szynką i świeżym

pomidorem. Jej wilczy apetyt zniknął, gdy tylko otworzyła drzwi i zobaczyła dużą kałużę pod drzwiami łazienki. Udało jej się posprzątać, zanim pojawił się Artur. Dzięki temu uniknęła złośliwych docinków na temat swojego męża.

Układając włosy, przypomniała sobie jeszcze o tym, jak Daniel zapomniał wyłączyć żelazko. Tym razem skończyło się na zniszczonej koszuli i desce do prasowania. Podobnych przykładów – świadczących o roztargnieniu jej męża – mogłaby przytoczyć jeszcze sporo, jak chociażby „przypadkowe” spalenie szafek w kuchni, gdy przyrządzał obiad oraz zabicie akwarium podczas gry w baseball w Boże Narodzenie z jego siedmioletnim kuzynem.

Z drugiej jednak strony Daniel, w odróżnieniu od innych znanych jej malarzy, dbał o swój wygląd. Zawsze miał na sobie czystą, wyprasowaną koszulę, bądź T-shirt, o ile akurat nie spalił go podczas prasowania, a jego długie, czarne włosy były starannie uczesane. Nigdy też nie widziała go z dwudniowym zarostem. Poza tym, w odróżnieniu od niej, chciało mu się wstawać codziennie o szóstej rano, żeby pobiegać i kupić świeże pieczywo.

Jednak tym, co najbardziej w nim kochała, i czego zarazem nienawidziła, była jego spontaniczność i pomysłowość. Potrafił ją zadziwić wspaniałym, niebanalnym prezentem urodzinowym. Na pierwszą rocznicę ślubu wynajął stary samolot, którym mieli polecieć na jedną ze słabo zaludnionych wysp Bałtyku. Tam, na plaży czekała na nich kolacja z bardzo dobrym winem, świeżymi rybami i muzyką na żywo. Wszystko byłoby wspaniałe, gdyby nie jeden drobny szczegół. Na wyspie nie było żadnego lotniska, zaś samolot leciał na Bornholm. Dowiedziała się o tym w chwili, gdy zobaczyła, jak jej uśmiechnięty od ucha do ucha mąż zakłada spadochron, mówiąc, że to część prezentu. Wściekła się wtedy strasznie, chociaż musiała przyznać, że jej pierwszy w życiu krok w chmurach był fantastycznym przeżyciem.

„A właśnie, o wilku mowa” – pomyślała, słysząc skrzypienie drzwi.

– Daniel, to ty? – zapytała z przyzwyczajenia.

Odpowiedziała jej głucha cisza. Ktoś krzątał się po pokoju. Pomyślała, że jej mąż po prostu nie usłyszał, ale wiedzioną policyjnym instynktem wołała się upewnić, czy to na pewno on.

– Cześć, kochanie – powiedział, całując ją w policzek.

– Po raz pierwszy w życiu jestem świadkiem twojego spóźnienia – odparła.

Spojrzał zmieszany na zegarek.

– Fakt. Musiałem coś załatwić na mieście. No, ale to tylko dziesięć minut po czasie – dodał na swoje usprawiedliwienie.

– Nie musisz się tłumaczyć. Chciałam cię tylko trochę podrażnić. Nie jest ci gorąco w tej bluzie? – zapytała, wyciągając jednocześnie w jego kierunku rękę.

– Nie – odsunął się szybko, unikając dotyku jej dłoni. – Nie przytulaj się do mnie, bo jestem strasznie spocony – wyjaśnił. – Pójdę się najpierw trochę odświeżyć.

– Nie ma sprawy. Wypiję jeszcze kawę i możemy jechać.

Szef Daniela, Antoni Blinkiewicz, jak co roku organizował na swojej działce pod miastem imprezę na pożegnanie lata. „Co prawda wakacje jeszcze nie minęły, ale widocznie facet ma w tym roku napięty harmonogram” – pomyślała Malena. Ostatnim razem powiedziała, że źle się czuje, a dwa lata wcześniej prowadziła ważne śledztwo i nie mogła jechać. Tym razem nie miała żadnego wytłumaczenia, a on bardzo ją prosił, aby pojechali razem. Po długich namowach w końcu uległa. W duchu liczyła jednak, że zdarzy się jakiś cud i będą mogli zostać w domu. Wyobrażała sobie, jak może wyglądać takie spotkanie: najpierw będzie musiała uścisnąć piętnaście albo dwadzieścia spoconych dłoni i zapamiętać tyle samo imion. Potem zje jakąś tanią kiełbasę z grilla i przez cały wieczór będzie się trzymać Daniela, bo

w końcu lepiej ucześcić się swojego męża niż gadać z nieznanymi facetami o malowaniu obrazów i tym podobnych pierdołach.

– Jestem już gotowy – przerwał jej rozmyślenia.

Wyglądał zupełnie inaczej niż przed chwilą. Śnieżnobiała koszula z granatowymi dodatkami miała rozpięte mankiety. Na lewym ręku nosił stary zegarek z granatowym cyferblatem i srebrną bransoletką. Była to pamiątka rodzinna, którą otrzymał od ojca na dwudzieste piąte urodziny. Na prawy nadgarstek założył kilka rzędów koralików, głównie błękitnych, fioletowych i białych. Nie lubiła ich i uważała, że noszenie takich rzeczy jest niezbyt męskie, ale musiała przyznać, że tym razem ich kolorystyka przynajmniej pasowała do koszuli, podobnie jak jasnoniebieskie dżinsy z licznymi przetarciami na udach i kolanach. Całości dopełniały czarne buty ze skóry.

– Teraz chętnie cię przytulę – powiedział, rozkładając ręce. Podeszła do niego, a on objął ją w pasie. – Maleno, pamiętaj, że cię kocham – szepnął jej do ucha. Uśmiechnęła się, lecz on nie odważemnił gestu. – Jedźmy już, bo naprawdę się spóźnimy.

– Może warto kupić jakieś wino? – zaproponowała, gdy stali na parkingu pod domem.

– Świetny pomysł. Masz tu pieniądze, a ja jeszcze muszę na chwilkę wrócić do domu.

– Do domu? – zdziwiła się.

– Czegoś zapomniałem, ale tym razem nie chodzi o żelazko – zażartował.

*

Musiała przyznać, że dawno już się tak dobrze nie bawiła. Sądziła, że przebywali na „parkiecie” godzinę, może półtorej. Gdy spojrzała na zegarek, uświadomiła sobie, że tańczyli dwa razy dłużej.

Nie była to typowa impreza grillowa, na której pije się piwo, podrywa samotne koleżanki i narzeka na niską pensję. Spotkanie, jeśli mogła tak to nazwać, odbywało się na działce w lesie. Na ogrodzonym siatką terenie stał mały, drewniany domek, obok którego ustawiono kilka rzędów ław, grill i podobne sprzęty. Tańczyli na ubitej ziemi, między wysokimi drzewami, na konarach których Blinkiewicz nakazał umieścić stroboskopy i inne światła. Wokół było pełno sztucznego dymu, a gdzieś w krzakach, na małym stoliku ustawiono laptop, z którego odtwarzano muzykę. Mogłaby się założyć, że puszczej pirackie nagrania. Dzisiaj jednak postanowiła się zrelaksować, uznając, że przemysł fonograficzny nie ucierpi z powodu ściągnięcia z sieci kilku nielegalnych płyt więcej.

Dopiero teraz, gdy usiadła, spróbowała poszukać wzrokiem głośników. Udało jej się dostrzec tylko dwa. W migocącym paletą kolorów świetle smukłe pnie sosen zlewały się z sylwetkami tańczących kobiet i mężczyzn. Ucieszyła się, że założyła wygodne obuwie. Co prawda buty wyglądały, jakby przeszła w nich przez dżungłę amazońską, ale to nie miało większego znaczenia. Bawiła się świetnie. Szaleństwa na „parkiecie” zajęły jej tyle czasu, że nie musiała go trwonić na nudne rozmowy z nieznanymi i odliczanie czasu do końca spotkania. Zdążyła jedynie poznać gospodarza i jedną z koleżanek Daniela.

Antoni Blinkiewicz był starszy od Maleny o jakieś dwadzieścia lat i mógłby uchodzić za jej ojca. Szczupły, lecz nieco niższy od jej męża. Miał niebieskie oczy i orli nos. Wydawało jej się, że ma jasne włosy, lekko przyprószone srebrnym odcieniem na wysokości uszu, ale nie była pewna, do jakiego stopnia na jej spostrzeżenia mają wpływ zmieniające się co chwilę światła.

Szef Daniela podał jej rękę i przedstawił się jako pierwszy. Wspomnił w kilku słowach o zeszłorocznej imprezie, na której jej nie było, i życzył dobrej zabawy. Sam o nic nie wypytywał.

Jak można było się spodziewać, nie tańczył zbyt wiele, a nawet w ogóle, za to brylował w towarzystwie, wznosząc kolejne toasty i opowiadając kawały.

Policjantka z zaciekawieniem przyglądała się tej scenie. Blinkiewicz stał przy ławie, zwrócony plecami w stronę lasu. Opierał się o drzewo lewym barkiem, ponieważ dłoń miał w gipsie. W prawej ręce trzymał butelkę piwa. Otaczający go goście – niezależnie od wieku – sprawiali wrażenie, jakby bawili się w najlepsze i doprawdy trudno było poznać, że stojący obok mężczyzna jest szefem większości z nich. Jej mąż stał przy grillu, w odległości kilku metrów od znajomych i nakładał kielbaski, o co zresztą sama go przed chwilą poprosiła. Zdziwiło ją, że Daniel nie podziela entuzjazmu innych, mimo iż z całą pewnością słyszał opowiedane przez Blinkiewicza kawały.

– Cześć, jestem Klaudia! – Młoda, niewysoka dziewczyna uśmiechnęła się w jej kierunku, wyciągając dłoń. – Mogę się przysiąść? – Nie usłyszała odpowiedzi. – Dobra, już sobie idę – dodała, niezrażona brakiem reakcji z drugiej strony.

– Siadaj, proszę ... – Policjantka wskazała miejsce obok siebie. – Jestem Malena Marklund, to znaczy Malena Asman, żona Daniela – wyjaśniła.

Teraz to ona wyciągnęła rękę w kierunku koleżanki jej męża.

– Przepraszam. Zamyśliłam się. Obserwowałam tę grupkę pod drzewem. Wszyscy pracujecie w galerii?

– Nie, skąd. W zasadzie można powiedzieć, że tylko ja, Daniel, Tomek i Feliks. To tamten grubasek w żółtej koszulce – wskazała palcem na tańczącego mężczyznę. Aha, jest jeszcze Marta, ale dzisiaj jej tu nie ma. Podobno zachorowała. My zajmujemy się malowaniem obrazów na zlecenie oraz robieniem reprodukcji. Sprzedajemy też własne prace w galerii i przy okazji różnych wystaw, ale nie mówmy o tym. W końcu przyjechaliśmy tu, żeby się bawić.

Malena poczuła się przez chwilę zazdrosna. „Ta cała Klaudia musi być w porządku” – pomyślała. Przyjrzała się jej dokładnie. „W dodatku chyba jest z niej nawet niezła laska. Ciekawe, czy podoba się Danielowi?” Zanotowała w myślach, że musi go o to spytać, gdy będą wracać do domu. Jej mąż nadal stał przy grillu, nie reagując na dowcipy swojego szefa. „Coś długo pieką się te kielbaski” – pomyślała, czując coraz większy głód.

– Jak ci się podoba impreza? Założę się, że wyobrażałaś to sobie trochę inaczej? – Klaudia uśmiechnęła się do policjantki. Była od niej o kilka lat młodsza, lecz w żaden sposób nie przeszkadzało jej to w swobodnym prowadzeniu konwersacji z nieznaną.

– Poniekąd – odpowiedziała zdawkowo Malena. – Spodziewałam się, sama wiesz – dodała po chwili.

– Jasne. To moje drugie spotkanie. Za pierwszym razem też się wykręciłam, myśląc, że będzie jedzenie karkówki ze zboczonymi ochroniarzami i przynudzanie tych staruchów, którzy są odpowiedzialni za naszą księgowość i marketing.

Malena uznała, że nadają na tych samych falach. Znała ją od dziesięciu minut, a rozmawiały ze sobą jak najlepsze przyjaciółki. Klaudia była otwarta i miła. Poza tym nie przynudzała o swojej pracy, ani nie wypytywała jej, jak to jest pracować w policji. Zazwyczaj musiała odpowiadać na głupie pytania w stylu „czy zdarzyło ci się kiedyś strzelać do człowieka?” lub „czemu poszłaś do akademii policyjnej?”, a już najgłupsze ze wszystkich było: „Czy to prawda, że policjanci codziennie rano piją kawę i jedzą pączki?”. Za każdym razem odpowiadała tak samo: „Tak, strzelałam do człowieka i wstąpiłam do policji z powodów osobistych” i wreszcie to trzecie, po którym zawsze żegnała się z przypadkową rozmówcą: „Nie, nienawidzę pączków”. Zamiast tego opowiedziała Klaudii o dziadku Johanie mieszkającym w Sztokholmie, ostatnich wakacjach i o dziecku, o które bezskutecznie się starali.

– Przepraszam, jeśli jestem wścibska, ale mam pytanie ...

Klaudia zawahała się, dając Malenie czas na pozwolenie zadania go. Ta skinęła w odpowiedzi głową.

– Pochodzisz ze Szwecji. Jak udało ci się dostać pracę w policji w innym kraju?

– Mam męża Polaka i kartę stałego pobytu – zażartowała Malena. – A tak zupełnie na poważnie – dodała po chwili – zanim poznałam Daniela, pracowałam w szwedzkiej policji. Prowadziłam pewną sprawę. Potencjalną ofiarą był polski dyplomata, który akurat przebywał w Sztokholmie. Traf chciał, że uratowałam mu życie. Zamachowiec wylądował w pudle, a wasz, jak się później okazało, minister obiecał mi dozgonną wdzięczność, z której skorzystałam, gdy tylko poznałam Daniela.

– To znaczy, że dostałaś obywatelstwo i pracę za jednym razem?

Malena uśmiechnęła się w odpowiedzi.

– Nie myśleliście o tym, żeby to on wyemigrował za tobą do Szwecji? – zdziwiła się Klaudia.

– To nie wchodziło w grę. Całe życie wychowywałam się z dziadkiem. Dużo mu zawdzięczam, ale nie chciałabym z nim żyć pod jednym dachem, a mieszkanie w Sztokholmie kosztuje majątek. Poza tym, po waszej stronie Bałtyku jest znacznie cieplej.

Rozmawiając z Klaudią, Malena zapomniała całkiem o głodzie i o... Danielu.

– Gdzie on polazł? Tak się z tobą zagadałam, że zupełnie straciłam go z oczu.

– Jakiś czas temu widziałam go przy grillu, ale najwyraźniej znudziło mu się stanie przy kielbaskach – wypowiadając te słowa, wyjęła z kieszeni telefon, lecz nie wybrała numeru. – Jak chcesz, możemy go poszukać – zaproponowała.

– Nie lepiej zadzwonić?

– W tym hałasie i tak nic nie będzie słycać – zauważyła przytomnie Klaudia. Nie czekając na reakcję Maleny, odłożyła piwo i podniosła się z ławy.

Policjantka podążyła za nią.

– Feliksie, widziałeś gdzieś Daniela? – krzyknęła w kierunku tańczącego mężczyzny. Ten jednak był na tyle zaabsorbowany swoją partnerką, że dopiero po zakończeniu utworu zauważył obecność koleżanki.

– Chyba poszedł się wysikać – wskazał ręką bliżej nieokreślony punkt w ciemnej otchłani lasu.

– No to raczej nie będziemy mu przeszkadzać – Malena zawstydzila się, że robi zamieszanie w sytuacji, gdy jej mąż zniknął na kilka minut z pola widzenia.

– Będzie jakieś dwadzieścia minut temu – dodał tymczasem Feliks.

– Dziwne – odparła policjantka. – Może za dużo wypił i leży gdzieś pod drzewem – próbowała zbagatelizować całe zajście, lecz czuła, że coś jest nie tak. Znała Daniela od kilku lat i nigdy nie widziała, żeby przesadził z alkoholem. Tym razem w ogóle miał nie pić, ponieważ umówili się, że jeśli impreza będzie nudna, wrócą tuż po północy. Co prawda dochodziła już druga i nie zapowiadało, że mają się żegnać z gospodarzem, ale nie zauważyła, żeby jej mąż pił piwo.

– Jesteś pewny, że nic ci się nie pomyliło? Malena się martwi.

– Nie, Feliks na pewno się nie myli. – Teraz to dziewczyna zabrała głos. – Nawet chciałam, żeby ze mną zatańczył, ale powiedział, że musi iść się wysikać. To było jakieś cztery albo pięć piosenek temu, bo poszłam jeszcze coś zjeść, a ostatnie trzy utwory przetańczyłam z nim! – Końcowe zdanie wypowiedziała zdecydowanie głośniejszym głosem, aby przekrzyczeć Johna Bon Joviego.

– Możesz pokazać, gdzie dokładnie poszedł?

– Tam jest taka drewniana, niska furtka. Większość facetów chodzi w to miejsce, bo pod WC cały czas jest kolejka. Tylko uważaj, bo łatwo tam złamać nogę! – Wypowiedziawszy te słowa, objęła Feliksa w pasie. – No kochanie, grają piękną balladę.

Policjantka zapaliła latarkę w swoim telefonie komórkowym i poszła we wskazanym kierunku ...

IV

SOPOT, 14 SIERPNIĄ 2009

– Może chciałabyś wypić jeszcze jedną kawę? – zapytał policjant.

Dziewczyna spojrzała na niego obojętnym wzrokiem.

– Dziękuję, Arturze – powiedziała tak cicho, że ledwie było ją słyszeć. – Może rzeczywiście postawi mnie na nogi.

Malena spędziła pięć ostatnich godzin na posterunku policji w Sopocie, cierpliwie odpowiadając na pytania kolegów po fachu. Występowanie w roli osoby przesłuchiwanej było dla niej nowym, bolesnym doświadczeniem. Wiedząc, jakie to ważne, próbowała opanować swoje emocje i przypomnieć sobie wszystkie, choćby najdrobniejsze szczegóły, licząc, że wiedza ta pozwoli rozwikłać zagadkę zniknięcia jej męża.

Mimo usilnych starań nie udało jej się odszukać w pamięci żadnego dziwnego wydarzenia. Pamiętała tylko, że przysiadła się ta dziewczyna, Klaudia. Rozmawiały. Widziała kątem oka, jak Daniel stoi przy grillu. Jedyne, co mogło ją zdziwić, to fakt, że stał tam zdecydowanie za długo, oraz to, że był odwrócony plecami do swoich znajomych, którzy pili piwo i śmiali się. Znała go dobrze i wiedziała, że nie jest typem odludka. Chwilę później już go nie było. Rozmawiając z Klaudią, zupełnie straciła poczucie czasu.

– Wiem, że to łatwo powiedzieć, ale musisz być dobrej myśli – próbował ją pocieszać Artur.

Spojrzała na niego wymownie. Chciała podziękować za troskę, ale zamiast tego ponownie się rozplakała. Nigdy nie czuła się tak bezsilna jak w tej chwili.

– Dostaliśmy już wstępny raport od chłopaków z Sopotu. Nie ma żadnych dowodów na to, że twój mąż nie żyje. W okolicy znaleziono sporo krwi i połamanych gałęzi, ale, co najważniejsze, nie ma ciała.

– Czy zrobili już analizę? – Malena starała się myśleć rzeczowo.

– Całą policję z Trójmiasta postawiono na nogi. Sprawa jest traktowana priorytetowo. Zanim do Ciebie przyszedłem, zadzwonił Paweł Staszewski. Mówił, że już pobrano krew od ojca Daniela i właśnie wiozą ją do laboratorium, żeby porównać z próbkami znalezionymi w lesie. Paweł obiecał zadzwonić, jak tylko będą wyniki.

Zdawała sobie sprawę, że jej koledzy robią wszystko, co w ich mocy, żeby rozwiązać sprawę. Mimo to miała dziwne przeczucie, że coś zostało pominięte.

– Niech sprawdzą wszystko jeszcze raz! – zdanie to zabrzmiało jak rozkaz.

– Maleno... – Artur położył jej rękę na ramieniu.

– Dzwon do nich! Niech sprawdzą wszystko jeszcze raz! – powtórzyła tymczasem policjantka. – Nie wyobrażam sobie, żeby Daniel tak po prostu zniknął. Skoro są połamane gałęzie i krew, to musi być tam coś jeszcze. Może jakiś fragment ubrania albo naskórka! Cokolwiek, ale niech to znajdą, do jasnej cholery!

– Dobrze, tylko postaraj się uspokoić. Pojadę do szefa i poproszę go, żeby zezwolił...

– Nie! Skoro ja nie mogę oficjalnie poprowadzić tego śledztwa, jedź ty! Jesteś moim przyjacielem?!

Mężczyzna w odpowiedzi skinął jedynie głową. Wiedział, że z nią nie wygra. Zresztą nie zależało mu na tym.

– Jedź już. – Tym razem poprosiła zamiast krzyczeć.

Artur odstawił kubek z niedopitą kawą, pożegnał się i wyszedł.

V

WARSZAWA, 20 MAJA 1941

Tramwaj linii 22 włókł się ospale wzdłuż ulicy Chłodnej. Wewnątrz pojazdu panował straszliwy ścisk i zaduch. Na końcu wagonu stali dwaj mężczyźni. Mieli po dwadzieścia parę lat. Obaj ogoleni, ze starannie zaczesanymi na bok włosami. Pierwszy nosił cienki, lecz zbyt obszerny płaszcz. Drugi był ubrany w czarną skórzaną kurtkę. Idealną, jak na wyjątkowo chłodną tego roku wiosnę. Nie rozmawiali ze sobą ani z innymi podróżnymi. Gdy tramwaj zwolnił na skrzyżowaniu Chłodnej z Żelazną, mężczyzna w kurtce wyskoczył wprost na ulicę, nie oglądając się na swojego towarzysza. Przeszedł spokojnie kilkaset metrów, by chwilę później zniknąć za drzwiami apteki.

– Dzień dobry. Czym mogę panu służyć? – zapytał grzecznie sprzedawca.

– Pani Róży skończyły się lekarstwa – odpowiedział nieznamomy.

– Obawiam się, że zostały tylko witaminy. – Aptekarz uśmiechnął się do klienta. – Proszę tędy. Tylko szybko.

Wskazał niewielkie drzwi po lewej, tuż za plecami przybysza. Mężczyzna, nie zastanawiając się ani chwili, wskoczył w znajdującą się za nimi czarną otchłań. Aptekarz pospiesznie zamknął drzwi i wrócił za ladę. Obsłużył kilku klientów, w tym jednego granatowego policjanta, który uskarżał się na wysoką gorączkę.

Gdy tylko ten opuścił aptekę, jej właściciel zasłonił dokładnie okna grubymi zasłonkami i zaryglował główne wejście. Następnie podszedł do małych, umieszczonych w głębi pomieszczenia drzwi i czterokrotnie zapukał. Chwilę później wyłonił się zza nich tajemniczy mężczyzna. Tym razem był już bez kurtki. Poczul się lżejszy o dobrych kilkanaście kilogramów, które w postaci trzech pistoletów i amunicji zostawił na zapleczu apteki. „Ciekawe, jak poszło Jurkowi?” – pomyślał o koledze z tramwaju, którego zadaniem było przewiezienie podobnego transportu do składnicy broni mieszczącej się przy ulicy Karmelickiej.

Mieli się spotkać dopiero za kilka godzin. Michał wiedział, w jaki sposób spożytkować ten czas. Przeszedł kilkaset metrów wzdłuż Chłodnej, po czym skręcił w jedną z bram. Był już pod właściwym lokalem, lecz nie chwycił za klamkę. Przystawił tylko ucho do ściany, próbując wychwycić wydobywające się zza niej dźwięki. Po kilku minutach nasłuchiwania doszedł do wniosku, że wszystko musi być w jak najlepszym porządku. Zapukał trzy razy i stanął naprzeciwko wejścia.

Otworzyła mu młoda dziewczyna.

– Wreszcie jesteś. Martwiłam się już – stwierdziła z lekkim wyrzutem, ponaglając go jednocześnie, by szybciej wszedł do środka.

– Przepraszam, musiałem jeszcze coś załatwić na mieście.

– Co tym razem: broń, granaty, a może pieniądze? – zapytała.

– Im mniej wiesz, tym mniej się boisz – odparł zdawkowo. – Gdzie twój tata? – Zaciekawiony brakiem ojca dziewczyny rozglądał się po pokoju.

– Nie martw się. Jest w bezpiecznym miejscu. Słyszałeś o Złamanie Nożyku?

Chłopak pokręcił przecząco głową.

– Bogaty kupiec z Warszawy, który dorobił się wielkich pieniędzy na handlu galanterią. Około pół wieku temu ufundował

wspaniałą synagogę, którą szkopy przerobiły na stajnię dla koni. Na szczęście, dzięki staraniom pewnych ludzi udało się ...

– Mario – przerwał jej w pół zdania – nie wiem, w jaki sposób, ale coś czuję, że ta historia ma związek z naszym dzisiejszym popołudniem ...

– I masz rację. – Dziewczyna uśmiechnęła się tajemniczo. – Napijesz się herbaty? Zostało nam jeszcze trochę z twojej ostatniej paczki. Zaraz nastawię wodę. Mam też kilka kostek cukru – dodała zachęcająco.

– Byłbym zapomniał. – Michał poderwał się z kanapy. – To dla was – powiedział, wyjmując z kieszeni spodni zwitek pieniędzy, czekoladę i kilka kromek chleba. – Następnym razem spróbuję przynieść coś więcej. Może nawet kielbasę lub jajka ... – Uśmiechnął się.

– Dziękuję, tata się na pewno ucieszy. A właśnie, pytałeś o niego. Co byś powiedział na małą wycieczkę?

Chłopak zrobił zdziwioną minę.

– Za godzinę odbędzie się otwarcie synagogi Nożyków. Tata został poproszony o poprowadzenie modłów. To niedaleko stąd, przy Twardej ...

– Marysiu, spacer po getcie nie są dobrym pomysłem! – Michał stanowczo zaprotestował.

– Ja spaceruję codziennie. Wczoraj na przykład śpiewałam w Feminie, a dwa dni temu byłam w Sztuce – pochwaliła się. – Po przedstawieniu poznano mnie z panem Szpilmanem. Znakomity pianista. Obiecał dać mi kilka lekcji. Mówię ci, Michałku, to wielki artysta. Cały świat o nim usłyszy.

– Przecież sama grasz wspaniale. – Mężczyzna objął ją w pasie.

Całował po szyi i głowie. Dziewczyna udawała dla żartów, że nie ma ochoty na amory. W rzeczywistości nie pragnęła w tym momencie niczego innego.

– Do pana Szpilmana mi jeszcze daleko, mój drogi. Ale kto wie...

– To jakie masz plany na popołudnie? – zapytał ponownie, przesuając dłoń wzdłuż jej tułowia.

W odpowiedzi pogroziła mu palcem, posyłając jednocześnie najpiękniejszy ze swoich uśmiechów.

– Tym razem musisz się obejść smakiem, mój drogi. Obiecałam tatusiowi, że po uroczystości pójdziemy odwiedzić pana Ringebluma, a teraz musimy kupić coś do jedzenia za te pieniądze. – Mówiąc to, wskazała zwitek banknotów, który przyniósł.

– A moja herbata? – zaprotestował Michał.

Gospodyni uśmiechnęła się w odpowiedzi. Wzięła ostrożnie szklankę i postawiła na stole tuż przed gościem.

– Jedną kostkę czy dwie? – Mówiąc to, dziewczyna wyjęła ze skrytki schowanej za masywnym kredensem niepozorne zawiniątko, w którym znajdowało się kilka bryłek cukru.

„Dwie” – chciał odpowiedzieć Michał, lecz w porę ugryzł się w język. „Jak mógłbym zabierać im ostatnią porcję cukru, gdy oni tu walczą o każdą kromkę chleba” – pomyślał i oplótł swoimi długimi palcami znacznie mniejszą dłoń dziewczyny.